

W

ydając przed wakacjami pierwszy numer „Niezbędnika Współczesnego”, ostrzegaliśmy, że jest to pismo nietypowe, zmierzające dokładnie pod prąd dzisiejszych standardów krótkiej, uproszczonej komunikacji, adresowane do elitarnej grupy tych-co-jeszcze-umieją-czytać. Zastanawialiśmy się, czy ta propozycja czytelniczego odpowiednika winylowej płyty

znajdzie odbiorców, czy też eksperyment wydawniczy autorskiego środowiska POLITYKI skończy się tak szybko, jak się zaczął? Ogłaszamy sukces: choć bilans nie jest jeszcze zamknięty, mamy kilkadziesiąt tysięcy Czytelników, którzy zdecydowali się kupić – i mamy nadzieję przeczytać – jedyną chyba gazetę w Polsce, która na okładce ma tylko spis treści. Ujawniamy, że to zabieg celowy: pierwsze sito doboru naturalnego użytkowników „Niezbędnika”. Zresztą, tak jak zaznaczamy na stronie tytułowej, wybieramy do lektury jedynie „Wielkie tematy i najważniejsze pytania”, na które naprawdę nie szkoda czasu.

W tym wydaniu stawiamy na przykład pytanie, ni mniej, ni więcej, ale o sens życia. O odpowiedź, a właściwie o rozprawę z historią i samym sensem tego pytania poprosiliśmy prof. Jana Hartmana, wybitnego filozofa, etyka, a przy tym intelektualnego prowokatora. W sumie, możemy więc oświadczyć: jeśli zastanawiasz się, po co człowiek żyje – odpowiedź znajdziesz na stronie 30. Ale, idąc tropem pierwszego wydania „Niezbędnika”, gdzie znalazła się historyczna, bo sprzed 10 lat, rozmowa z prof. Leszkiem Kołakowskim o tym, jak dobrze żyć, poprosiliśmy Jacka Żakowskiego, aby mniej więcej o to samo – czyli co jest w życiu dobre? – zapytał znów kogoś mądrego. I mamy obszerny wywiad z Adamem Zagajewskim, znakomitym poetą i eseistą, od lat jednym z faworytów do literackiej Nagrody Nobla (jeśli znów będzie przyznawana). Fascynujące.

Ponieważ trzymamy się zasady różnorodności tematów – według formuły „wszystko, o czym warto poczytać i porozmawiać” – zamówiliśmy do tego wydania teksty, jakie raczej trudno dziś znaleźć w prasie. Choćby autorski eksperyment Edwina Bendyka, czyli próba wyobrażenia sobie świata bez internetu oraz ewentualnych technicznych okoliczności takiego blackoutu. Zapraszamy też do podróży w głąb oceanu, do Indii i w przestrzeń kosmiczną. Ale także do Polski, zaglądając w chłopskie rodowody Polaków, w sondaże, które bezradnie próbują określić, co i o czym sądzimy, czy wreszcie w 100-lecie odzyskania niepodległości do II RP, pełnej politycznej przemocy, plemiennego agresji, kłótności, i nieustannych prób jakiegoś ułożenia się między nami rodakami.

Zapraszamy do lektury. Następne wydanie planujemy w drugiej połowie listopada.

JERZY BACZYŃSKI
REDAKTOR NACZELNY POLITYKI

niezbednik@polityka.pl



6 / **Polszczyzna, czas terażniejszy**
Ewa Wilk

14 / **Nasza nowa naszość**
Tomasz Szlendak

20 / **Próba z błędem**
Z prof. Antonim Sułkiem
rozmawia Jędrzej Winiecki

24 / **Rzeczpospolita politycznie rozdarta**
Adam Kożuchowski

30 / **Jaki jest sens życia?**
Jan Hartman

36 / **Przyszłość świeckości**
Adam Szostkiewicz

41 / **Seks i medycyna**
Paweł Walewski

46 / **Słoń, nie smok**
Paulina Wilk

54 / **Europa Piłata**
Łukasz Wójcik

60 / **Jak się masz, Europo**
Michał Matlak

64 / **Psy postwojny**
Krzysztof Kubiak

68 / **Poranek bez sieci**
Edwin Bendyk

74 / **Piknik na skraju pustki**
Karol Jałochowski

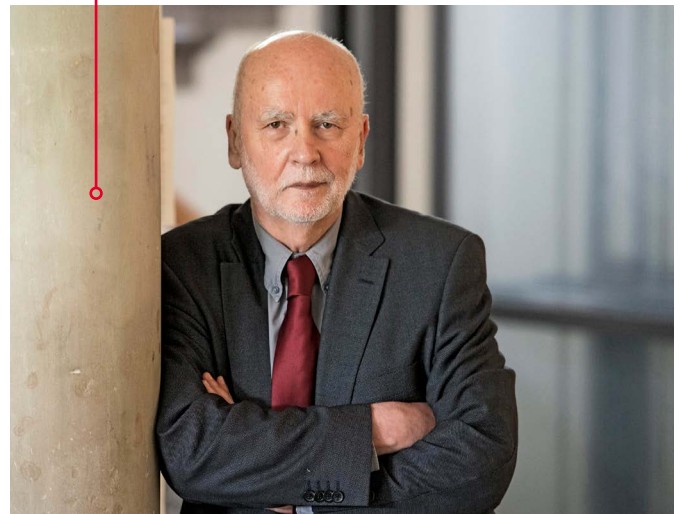
79 / **Pływanie z żółtą kaczką**
Z prof. Janem Marcinem Węstawskim
rozmawia Agnieszka Sowa

84 / **Geny na talerzu**
Marcin Rotkiewicz

89 / **Skrytość drzew**
Z dr. hab. Bogdanem Jaroszewiczem
rozmawia Sławomir Mizerski

94 / **Mroczny przybysz**
Przemek Berg

98 / **Co jest dobre?**
Z Adamem Zagajewskim
rozmawia Jacek Żakowski





APETYT NA KULTURĘ W MIEŚCIE MUZYKI UNESCO



KATOWICE
dla odmiany

Katowice dla wielu osób kojarzyły się jeszcze kilkanaście lat temu wyłącznie z szarością, kopalniami i węglem. Dziś ciekawa i zróżnicowana oferta kulturalna przyciąga nie tylko mieszkańców Katowic, ale też tysiące turystów z całego kraju i zagranicy.

Na pierwszy plan zdecydowanie wybijają się muzyka. To właśnie w Katowicach odbywają się znane w całej Europie festiwale muzyczne – Tauron Nowa Muzyka i OFF Festival. Dla wielbicieli bluesa najważniejszą imprezą muzyczną w roku jest oczywiście Rawa Blues Festival. Warto przypomnieć, że właśnie ten gatunek muzyki w Polsce ma swoje korzenie w Katowicach, co stało się inspiracją do stworzenia projektu „Szlak Śląskiego Bluesa”. Wchodząc na stronę internetową www.szlak-bluesa.pl, możecie posłuchać historii opowiadanych m.in. przez Irka Dudka, Sebastiana Riedla czy Leszka Winderę, a korzystając z interaktywnej mapy – każdy z nas może samodzielnie poszukać śladów bluesa ruszając w miasto.

Wielbiciele klasycznych i eksperymentalnych brzmień chętnie odwiedzają siedzibę Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia (NOSPR) w powstałej kosztem ponad miliarda złotych Strefie Kultury. Licząca 1800 miejsc sal koncertowa jest przez specjalistów uznawana za jedną z najlepszych w świecie,

a każdy koncert przyciąga komplet publiczności. Dlatego warto już dziś sprawdzić repertuar na stronie internetowej www.nospr.org.pl i wcześniej kupić bilety!

Życie muzyczne Katowic zostało zauważone i docenione! Pod koniec 2015 roku Katowice otrzymały prestiżowy tytuł Miasta Muzyki UNESCO – jako jedyne miasto w Polsce i jedno zaledwie 13 w Europie.

Lecz przecież nie samą muzyką Katowice żyją. Miłośnicy teatru powinni pilnować terminów i repertuarów, w szczególności gdy zbliżają się Letnie Ogrody Teatralne czy Katowicki Karnawał Komedii. I ostrzegamy: bilety rozchodzą się szybciej niż świeże bułeczki! A gdy już skończy się ostatni koncert, a wszyscy aktorzy zjedzą ze sceny, nie wracajcie od razu do domu. Warto trochę nadłożyć drogi i nie wsiadać w pierwszy lepszy tramwaj. Wybierzcie się na spacer po Katowicach i poszukajcie neonów, by zobaczyć na własne oczy śląskie Las Vegas.

Wszystko to jest ukoronowaniem procesu przemiany z miasta przemysłowego w miasto przemysłów kreatywnych.

POLSZCZYZNA, CZAS TERAŹNIEJSZY



Język jest tym, czym ludzie mówią i piszą, a przede wszystkim myślą. Oto kilka niepokojących zjawisk we współczesnej polszczyźnie. Opisujemy je nie po to, by ubolewać nad samym językiem, lecz nieco więcej zrozumieć z naszych czasów.



G

EWA WILK

est, ruch ciała, spojrzenie, mimika. Nawet osoby pozbawione słuchu czy mowy potrafią się komunikować. Człowiek ma wiele sposobów, by wyrazić to, co myśli i czuje. Swoistą drogą komunikacji jest sztuka. Bez jednego wszakże współcześnie ludzkość obejść się nie może: bez słów. One są istotą tego gatunku, filarem jego sukcesu ewolucyjnego i podstawą cywilizacji. Prawdopodobnie bez słów, którymi posługują się najbardziej twórcze umysły, nie byłyby wielowiekowego pochodzenia imponujących wynalazków. Ale też bez słów nienawistnych i wykluczających nie byłyby aż takich wojen, aż tak masowych mordów, aż takiej żądzy burzenia, niszczenia. Bez słów kłamliwych nie zagnieździłyby się na ziemi zbrodnicze reżimy, zniewalające łgarstwem i propagandą umysły milionów ludzi. Jednym z prawdziwszych zdań w dziedzictwie kulturowym ludzkości jest to, że „na początku było Słowo”. Jest ono zawsze na początku istotnych wydarzeń i procesów społecznych.

Język polski, w zależności od słownika, który go kodyfikuje, liczy od ok. 60 tys. do nawet 140 tys. słów, a wzięwszy pod uwagę wszystkie formy fleksyjne czy nazwy własne, doliczylibyśmy się 350 tys. (Dla porównania: angielszczyzna w Wielkim słowniku oxfordzkim daje do dyspozycji 300 tys. pojęć i terminów, Hiszpanie obliczają się na 90 tys.).

Naukowa obserwacja polszczyzny nie niesie jakichś szczególnych powodów do nerwowości. Zważywszy, że w okresie międzywojennym 80 proc. obywateli Rzeczypospolitej posługiwało się niepolskimi językami etnicznymi albo mówiło którąś z licznych gwar, obecna

powszechna biegłość w używaniu polskiej mowy, mniej lub bardziej zbliżonej do urzędowej i literackiej, robi wrażenie.

Badacze zwracają jednak uwagę na pewne niepokojące zjawiska. Niezrównany prof. Jan Miodek w swym eseju zamieszczonym w zbiorowej pracy „Polska. Eseje o stuleciu” (wyd. BOSZ, 2018) pisze o brutalizacji języka i spowszednieniu wulgaryzmów. Ale też z niejakim uznaniem odnosi się do żywotności i kreatywności gwary młodzieżowej i z akceptacją przyjmuje zmasowany atak angielszczyzny na polszczyznę, co towarzyszy, oczywiście, zejściu pod wszelkie dachy i strzechy współczesnej technologii komunikacyjnej.

Z pozoru językowi nie grozi więc uwiąd: starocie rozpadają się, stają się coraz mniej zrozumiałymi gratami językowymi. Powstałe ubytki są jednak stale plombowane. Nie pierwszy to raz w historii, gdy uzupełnienia pochodzą z importu. Język musi reagować na ducha epoki, unowocześniać się, podążać za swoimi czasami czy raczej – jak dziś modnie mawiamy – apdejtować się (od ang. *update*). Jest on – powtórzmy – wielowymiarowym lustrem: obrazuje mentalność, kulturę, powszechne przekonania i przesady, wiedzę i niewiedzę. Tym, czym ludzie nie tylko mówią i piszą, lecz przede wszystkim myślą.

Przyjrzyjmy się zatem pod tym właśnie kątem kilku zjawiskom językowym, dobranym raczej wedle dziennikarskiej obserwacji i intuicji niż przy użyciu naukowych narzędzi pomiarowych. Nie po to, by nad powszechnym, potocznym językiem się pastwić, ale by nieco więcej zrozumieć z rzeczywistości, w której żyjemy, i wyobrazić sobie, ku czemu zmierza nasza społeczność spojona właśnie językiem – chyba nawet bardziej niż kulturą, tradycją, historią.

Interesujące byłoby poddać analizie język potoczny, ludowy, kulawy, nieudolnie naśladowujący język reklamy i pop-mediów, nadający nowinkom językowym osobliwe brzmienia i znaczenia, a przede wszystkim – przebogato inkrustowany plugastwami. To zresztą rekonstruują wirtuozersko reportażyści i pisarze, by przywołać tylko dwa znakomite nazwiska z POLITYKI: Edyta Gietka i Marcin Kołodziejczyk (jego najnowszą powieść „Prymityw” można czytać także

jako swoiste studium językowe). Niebezpieczniejsze zdają się jednak zjawiska, które charakteryzują język jakkolwiek rozumianych elit: politycznej, finansowej, kulturalnej, naukowej, medialnej. To członkowie tych grup społecznych kształtują znaczenia słów, również symboliczne, narzucają mody i kody językowe. Innymi słowy: od nich zależy, jak mówimy. I jak myślimy.

Czas nieracjonalny

Z nastaniem demokracji liberalnej – jak się przed bez mała trzydziestu laty wydawało – język, zwłaszcza ten publicznego użytku, powinien był zarazić się jej wartościami. Nie chodzi tu bynajmniej tylko o tzw. poprawność polityczną, karykaturalnie niekiedy wypaczoną (i przez to nieznośnie wyszydzaną), lecz po prostu o nawykowe unikanie słów, które mogą razić, ranić, godzić w drugiego człowieka. O umiar i jasność w wypowiedaniu własnego zdania i manifestowaniu poglądów. O powściągnięcie emocji na rzecz racjonalnej argumentacji. Wszak liberalna demokracja zakładała, że wszyscy jako społeczność musimy się w nowym systemie pomieścić, nie narzucając żadnej mniejszości przez żadną większość (i odwrotnie), jak ma żyć, w co wierzyć, co myśleć i co mówić. Jedynym ograniczeniem miała być godność i dobro drugiego człowieka. Doświadczenia z systemu autorytarnego zdawały się wspomagać spontaniczną rekonstrukcję polszczyzny, zaśmiecaną przez kilka dziesięcioleci perelowską nowomową, rusycyzmami. Gwałconej odwracaniem pojęć, ideologicznym bełkotem, w którym przymiotnik *socjalistyczny* funkcjonował niczym pieczęć poświadczająca zawłaszczenie danej organizacji (instytucji, związku zawodowego, stowarzyszenia młodzieżowego itd.) przez władzę. Tamten system był irracjonalny i ówczesny język, z upodobaniem łącząc słowa w rozmaite, często wewnętrznie sprzeczne pojęcia, dobitnie o tym świadczy. *Centralizm demokratyczny, dyktatura proletariatu, sojusz robotniczo-rolniczy, socjalistyczna gospodarka planowa* – bez końca można by te ramoty językowe przywoływać. Tyle że tamta soc-mowa miała jedną samobójczą cechę: była śmiertelnie nudna. Plena, referaty, przemówienia – tysiące godzin wodolejstwa, z któ-

rych tylko wytrwali słuchacze byli w stanie wyłowić radykalny zwrot w linii partii w kierunku *odwilży* lub *zaostżenia kursu*, a towarzyszy *twardogłowych* odróżnić od *reformatorów*.

Tak więc z demokracją pojawiła się nadzieja, że zaczniemy posługiwać się w Polsce wspólnym językiem wolnym od chorobliwych skłonności do zakłamywania znaczeń słów, próżnej gadaniny, sztucznego patosu, wyrazów nazywających i dyskwalifikujących. Że oto wraz z racjonalną gospodarką, racjonalną polityką społeczną, racjonalną edukacją nadeszły racjonalne czasy.

Dziś, po kilkudziesięciu zaledwie miesiącach rządów PiS, okazuje się, że dla ogromnej części społeczeństwa *irracjonalizacja* języka publicznego – by się tak wyrazić – nie ma większego znaczenia. Przeciwnie – spora część Polaków tego właśnie wydaje się pragnąć. Obecna



władza znów stawia pieczęcie na instytucjach, a także ludziach: narodowy (lepiej: narodowo-katolicki), prawdziwy Polak, prawdziwy patriotyzm. Odwraca znaczenia pojęć. Nadużywa słów.

Czas pop-patosu

Dlaczego jest w tym skuteczna? Wydaje się, że istnieje pewna skłonność psychologiczna, pewna dyspozycja poznawcza, która polega na łąkaniu słów wielkich i znaczących. Trudno w literaturze psy-

chologicznej znaleźć opis tego zjawiska, ale na pewno istnieje taki rodzaj umysłowości, która bez systematycznej, niemal narkotycznej dawki górnolotności źle się czuje. Wielkie Słowa nawet nie muszą łączyć się w logiczne zdania, frazy, hasła, akapity – byle padły, byle wypowiedziano je ze stosownym namaszczeniem i siłą. Tak jakby gdzieś w umyśle istniały na owe słowa szufladki domagające się bezustannie uzupełniania. Te wyrazy to obecnie z pewnością triada: Bóg, Honor,

Ojczyzna. Ale też Polki i Polacy, Naród, Państwo, Prawda, Godność, Męstwo, Heroizm, Niezlomność, Suweren. (Tylko część tych słów pisze się, oczywiście, wielką literą, ale wypowiada się je – by tak rzec – bynajmniej nie małą). Dobór słów na wielką literę jest niezwykle symptomatyczny. Nie ma obecnie w zasobie pojęć do politycznego użytku tych jeszcze niedawno dość istotnych, jak choćby solidarność czy odpowiedzialność.

Kilkoro przedstawicieli najwyższych władz aplikuje do mistrzostwa w tworzeniu swoistych taśm językowych złożonych z mieszaniny rzeczowników i przymiotników – bo o zdaniach trudno tu raczej mówić. To prezydent Andrzej Duda, Beata Szydło, Antoni Macierewicz czy dość niezgrabny na razie Mateusz Morawiecki. Mistrzem nad mistrzami pozostaje jednak Jarosław Kaczyński i językoznawcom pewnie trochę szkoda, że nie głosi już swoich comiesięcznych mów smoleńskich, które wdzięcznie poddawały się analizom. Szczególną uwagę badacze zwracali na powtarzający się w nich element Drogi (czasami – ku Prawdzie, ale na ogół po prostu drogi), którą trzeba iść, i choć celem jest się już blisko, to w końcu jednak dojdzie do niego okazuje się niemożliwe, bo na przeszkodzie stoją zjednoczone siły *komunistów, złodziei i drugiego sortu*. Tak mniej więcej brzmiały owe taśmy językowe, którym – cokolwiek powiedzieć – w nabożnym skupieniu przysłuchiwały się setki wiernych.

Czas nieufności

Zdumienie budzi łatwość, z jaką patos można powiązać z obelgą. Tu znów nasuwa się analogia do peerelowszczyzny, która szafowała *warchołami, elementami wywrotowymi, wiadomymi siłami* i nieznośnym, insynuacyjnym pytaniem retorycznym: *Kto za tym stoi, komu to służy?* Polszczyzna oficjalna wróciła do insynuacji i tonu oskarżenia. Obecna władza w swej retoryce nie ma oponentów, krytyków, przeciwników. Ma wyłącznie wrogów. Czyli zdrajców. Zdradzieckie mordy, by być precyzyjnym w cytowaniu.

W kwietniu ukazała się fascynująca książka „Hańba. Opowieści o polskiej zdradzie”. Kulturoznawczyni Agnieszka Haska (jej tekst w czerwcowym „Niezbędniku Współczesnym”) zabiera jej

Istnieje taki rodzaj umysłowości, która bez systematycznej dawki górnolotności źle się czuje. Wielkie Słowa nawet nie muszą łączyć się w logiczne zdania, frazy, hasła, akapity – byle się pojawiły.



czytelników w podróż w głąb polskiej historii aż do XVIII w., poszukując odpowiedzi na pytanie, „dlaczego opowieści o zdrajcach i kolaborantach są zwykle silniej zakorzenione w świadomości Polaków niż mity o bohaterach i wybawcach?”. To właśnie nasza historia, naznaczona rozbiorami i okupacjami (być może nawet bardziej niż heroicznymi bitwami i rozgromionymi powstaniem), sprawiła, że *zdrada* wczepiła się niczym rzep w mowę i myśli. Autorka rekonstruuje na podstawie dokumentów np. wstrząsające sceny publicznych egzekucji targowiczczan – bądź co bądź członków ówczesnej elity. Żądę krwawego widowiska, jaką pałała gawiedź.

Niezwykle ciekawe jest też przywołanie języka podziemnej prasy z czasów okupacji hitlerowskiej, która tępiła z zapamiętaniem wszelkie przejawy współpracy z okupantem (co ciekawe, słowo *kolaboracja* zadomowiło się w polszczyźnie już po wojnie), a do pojęcia *zdradca* dopisywała stale kolokwialne synonimy: *męty, kanalie denuncjatorskie, głuptycy, łajdacy, warchoły, zwyrodnialcy, renegaci, ludzkie szmaty, bydlęta, obrzydliwe płazy, szakale*, (siedzące w kinie) *świnie, krwiopijcy, pluskwy, gadziny, gówniarze, siepacze, skurwysyny*, aż w końcu – *niemcy*. Jak komentuje Agnieszka Haska, zdrajców pozbawiano człowieczeństwa. „W tekstach z okresu okupacji »prawdziwi Polacy« byli przeciwstawiani »nieprawdziwym Polakom« – nie ze względu na pochodzenie, ale niestosowanie się do stereotypu grupy własnej, bohaterkiej, prawej, przestrzegającej nakazów podziemia”.

W kontekście bestialskiej okupacji ten język wydaje się zrozumiały i uzasadniony. Tyle że pewne kalki w mowie i myśleniu przetrwały swoje czasy, przeżyły tych, którzy tego języka musieli używać, przeniosły się na kolejne pokolenia niczym samolubne językowe geny. Znaczna część naszego społeczeństwa, by pozostać przy tej metaforze, jest ukształtowana przez te geny, nieco tylko stłumione przez życiowe doświadczenia i wymogi kulturowe. Władza PiS to rozszyfrowała. My – czytają: prawi, moralni, cisi bohaterowie, oraz oni – pluskwy, kanalie, ludzkie szmaty. Nie ma półcieni, nie ma zmiłuj, nie ma wersalu, jak mawiał prototypowy polski populistą Andrzej Lepper.

Pielęgnacja takiej retoryki jest skrajnie ryzykowną, cyniczną grą. Albo wiem syci ona zjawisko, które dramatycznie zawadza naszemu społeczeństwu w zorganizowaniu się w cywilizowaną demokrację: opisany po stokroć przez socjologów brak zaufania. Ogromna liczba naszych rodaków, jeden z największych w Europie odsetek respondentów, na proste pytanie ankietowe odpowiada badaczom, że ostrożności w kontaktach z innymi nigdy dość. (Nie dzielają natomiast zdania, że „ludziom na ogół można ufać”).

Gorzej, podtrzymywanie takiej retoryki prowadzi wprost do nienawistnej narracji, czyli tworzenia i propagowania czarno-białej wizji świata. Do – jak to ujmuje psychologia społeczna – darwinizmu społecznego, w którym życie jawi się jako gra o sumie zero: ktoś musi przegrać, żebym ja odniósł sukces; skoro ja nie wygrywam, to znaczy, że ktoś inny wziął pulę moim kosztem. Na takim właśnie językowym gruncie rodziły się wielkie nieszczęścia, jakie ludzkość sama sobie gotowała. Na początku zawsze były słowa.

Czas prymitywny

Lubimy myśleć o historii ludzkości jako nieustannym postępie i o swoich czasach jako zdecydowanie lepszych niż te, w których przyszło żyć przodkom. Mamy w końcu antybiotyki, odrzutowce, ciepłą wodę w kranach i globalną sieć komunikacyjną. W której – jak to ktoś ostatnio trafnie nazwał – też panoszy się darwinizm: moje musi być na wierzchu. Wygrywa ten, kto wypowie się dosadniej, jaskrawiej, kto przywali z całej siły, kto pograży. Kogo? Obojętnie. Przeciwnika politycznego, dziennikarza, aktora, sportowca. Albo ogólnie: liberałów, komuchów, pisiorów, katoli. Gdzie? Obojętnie. Najlepiej anonimowo na jakimś otwartym forum.

Jedną z fundamentalnych zasad zachodniej kultury codziennej było całkowite lekceważenie anonimu. Przed nastaniem sieci anonimowe listy w redakcjach wyrzucało się do kosza przed czytaniem. Anonim w polszczyźnie ma wyłącznie synonimy o negatywnym wydźwięku: donos, denuncjacja, kalumnia, zarzut itd. Piewcy internetowej rewolucji zrazu przekonywali, że możliwość anonimowego wypowiedzenia się bez żadnego kulturowe-

go kagańca jest najwyższym wyrazem wolności słowa i znakiem zbliżania się prawdziwej demokracji. Dziś, w czasach fake newsów i hakerskich metod, w jakie ubabrała się wielka polityka (patrz: niekończąca się afera związana z domniemaną ingerencją Rosji w wybory prezydenckie w USA), ubywa bezkrytycznych entuzjastów niczym nieograniczonej sieciowej inwazji. Tyle że nijak ją zatrzymać.

Pozostawia ona, oczywiście, swój ślad w języku. Nie chodzi tu o to, że każdy polski nastolatek potrafi zalogować się (kto pamięta, że czasownika *logować* niedawno w polszczyźnie po prostu nie było?) do każdego urządzenia elektronicznego, jakie mu wpadnie w rękę, i rozumie słowa w rodzaju interfejs. Rzecz w tym, że komunikacja sieciowa jest coraz prymitywniejsza. Entuzjaści powiedzieliby: coraz prostsza. Emotikony jako znak subtelnych stanów psychicznych. Skrótowce zamiast pełnych słów. Lekceważenie ortografii i interpunkcji. Gotowe formułki życzeń świątecznych. Niestety, komunikacja internetowa jest coraz bardziej prostacka. Zdawkowa. Pospieszna. Niegrzeczna.

Tyle że słowo grzeczność to jeden z językowych gratów.

Czas wulgarny

Ubóstwo i prymitywizacja słownictwa wydaje się coraz bardziej oczywistym wkładem współczesności w dzieje ludzkiej cywilizacji. Populizm, który płynie szeroką falą przez świat, ma i tę cechę, że przemawia do ludu językiem ludu. Populizm nie gardzi grubym słowem, wręcz lubuje się w języku dosadnym. Jest religią silnych gości, którym nikt nie podskoczy. Nawet jak zawieruszy się tam madame Marine Le Pen (francuski Front Narodowy) czy prof. nauk prawnych Krystyna Pawłowicz, to okazują się silnymi gośćmi, którym nikt nie podskoczy. Przynajmniej na Twitterze. Albo w Krajowej Radzie Sądownictwa.

Niestety, populizm językowy nie jest wyłączną cechą tej czy innej formacji ideologicznej czy politycznej. Sadzenie się na prostego chłopca czy tzw. babę z jarami króluje w kuluarach wielkiej polityki i przenika na salony. Ta poza znalazła swój wyraz w niesławnych podsłuchach z restauracji Sowa i Przyjaciele, których ujawnienie przyniosło daleko bardziej

dramatyczne skutki, niż zrazu można było się spodziewać. Rzecz nie tylko w politycznej porażce liberalistów. To był fatalny sygnał dla ogółu wyborców. Że oni – całe te „elity” – tak mówią, więc pewnie tak właśnie myślą. Że kurwują jak chłopcy pod sklepem z piwem. Że ojczyznę mają za kamieni kupę. Że skoro tak, to znaczy, że oni są prostaki i nieuki nie lepsze niż my. Więc wara im od władzy. Dość pouczenia, że to my mamy być politycznie poprawni, kochać gejów i uchodźców, a im wolno wszystko.

Tak mniej więcej można by zrekonstruować reakcje na owe podsłuchy ogromnej części polskiego społeczeństwa. I to wcale nie tylko tej, która kilka miesięcy później zagłosowała na PiS. Wrażenie zrobiła nie treść podsłuchanych dialogów, nie to, że ktoś w jakimś celu musiał to wszystko zaaranżować, ale właśnie szczeniacko-knajacko-gangsterskie pozy językowe. Niewielu dało się przekonać, że to tylko pewien kod, kostium językowy, który wkłada się, by podkreślić

swoje wtajemniczenie, przynależność do zamkniętego kręgu, stworzyć poufałą atmosferę spotkania. Szeroka publiczność – jak można przypuszczać – zrozumiała z tego wszystkiego tyle, że teraz już można. Można publicznie mówić tak, jak myślisz: pedał, zbok, żydek, kebab, ciapata, czarnuch. Można nieść na oficjalnych pochodach banery o białej rasie i hajlować przy piwie. Można wrzucić na luz i pluć na „Gazetę Wybiórczą”, choćby się tam w życiu jednego słowa nie przeczytało. Można być chamem, bo wszyscyśmy chamy i prostaki, jednakże mamy geny.

Czas hermetyzacji

Problem, że inny wzór językowy, do którego warto by aspirować, właściwie nie istnieje. Nie ma dziś na polskiej scenie publicznej wysokiej klasy mówców. Oratorów. Lub choćby tylko komunikatywnych gawędziarzy. Lech Wałęsa miał swój czas, kiedy jego koślawe gramatycznie i stylistycznie mowy (nigdy nie stawia kropek w wypo-

wiadanych zdaniach) porywały tłumy, ale gdy wszedł w tryby instytucji demokratycznych, niezwykle często jego wypowiedzi stawały się – łagodnie mówiąc – enigmatyczne i, niestety, anegdotyczne z tymi wszystkimi przesławnymi *plusami ujemnymi, lewymi nogami* itd.

Dobrze mówią Aleksander Kwaśniewski czy Donald Tusk: niezbyt złożonymi zdaniami, od kropki do kropki, nie jękają się, używają obrazowej metaforyki, ale się w nią nie zapędzają. Tyle że wobec populistycznego żywiołu wydają się raczej interesującymi kompanami do pogawędki przy wieczornym winku niż trybunami jakiejś wielkiej sprawy. Ich poczucie humoru trafia na niesprzyjający grunt. Gdy Donald Tusk zażartował niedawno w wywiadzie dla TVN, że stanąłby w prezydenckie szranki, ale tylko przeciw Jarosławowi Kaczyńskiemu, nawet przez wielu swoich niedawnych zwolenników został oskarżony o narcyzm i egoizm, bo „o nic mu nie chodzi, tylko o wieczną wojnę z tym drugim”.

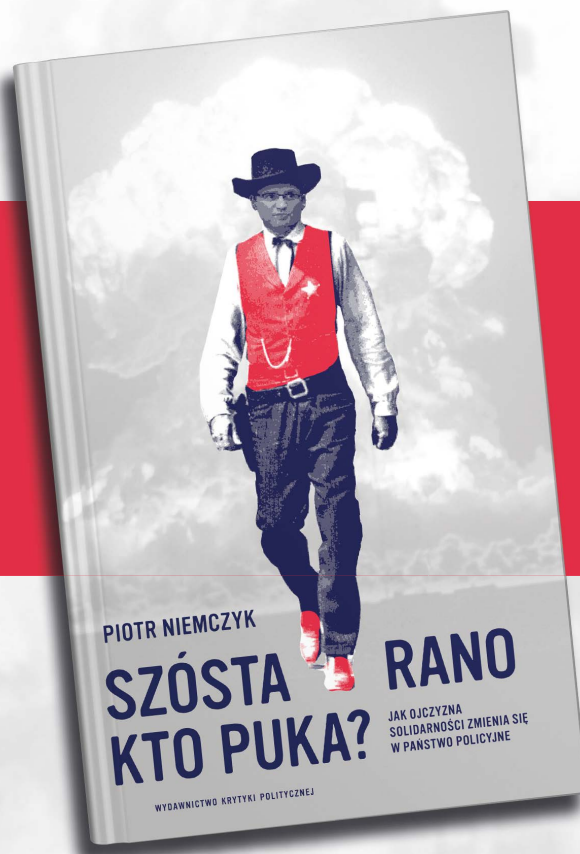
REKLAMA

WYDAWNICTWO | krytyka polityczna

WWW.WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

Odważny, bezkompromisowy i szczerzy do bólu. Nikt jeszcze nie opisał mechanizmów PiS-owskiej władzy w sposób bardziej otwarty i precyzyjny. Koniecznie przeczytajcie tę książkę.

WŁADYSŁAW FRASYNIUK



Moje książki to fikcja, Niemczyk pokazuje, jak przerażająca może być prawda. Przeczytajcie tę książkę, zanim ktoś zapuka do waszych drzwi.

VINCENT V. SEVERSKI

PATRONATY MEDIALNE:

OBYWATELE RP

Newsweek

OKO.press

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne



Emotikony jako znak subtelných stanów psychicznych. Skrótownce zamiast słów. Lekceważenie ortografii i interpunkcji. Komunikacja internetowa jest coraz bardziej zdawkowa. Niegrzeczna. Tyle że słowo grzeczność to jeden z **językowych gratów**.

Wydaje się, że generalnie coraz częściej ludzie – nawet występując publicznie – mówią tylko do „swoich”. I bynajmniej nie dotyczy to tylko polityków oraz tematyki politycznej.

W bez mała autystycznym świecie językowym obracają się informatycy. Konia z rzędem za informatyka, w obliczu którego przeciętny użytkownik sieci nie czuje się jak człowiek niedorozwinięty umysłowo i poznawczo oporny.

Zdecydowana większość lekarzy nie potrafi, nie chce i nie ma czasu komunikatywnie, stosownie do poziomu pacjenta wytłumaczyć mu diagnozę i logikę proponowanej terapii, choć nawet coś tak skomplikowanego, jak działanie drobnocząsteczkowego inhibitora kinazy tyrozynowej (nowoczesny lek na

pewne rodzaje raka), jest do wyobrażenia sobie przez 10-latkę.

Hermetyczni są prawnicy, czego fatalnym efektem jest dzisiejsza obojętność ogromnej rzeszy Polaków na dewastowanie wymiaru sprawiedliwości. Nawet ci najwybitniejsi w publicznych wystąpieniach krążą wśród ustępów konstytucji i ustaw, kluczają wśród oczywistych dla nich formułek: niezawisłość, trójpodział, Strasburg... Przejawiają wciąż jakiś dziwny opór w wytłumaczeniu, czym zamach na trójpodział władzy i poddanie prokuratury oraz sądownictwa władzy wykonawczej grozi normalnemu obywatelowi, który zetknie się z wymiarem sprawiedliwości nawet nie w roli podejrzanego czy oskarżonego, ale świadka, powo-

da, pozwanego. Po ludzku i na przykładach, a nie na paragrafach. Opór stowarzyszeń prawniczych budzi szacunek, tysiące ludzi wychodzących na ulice w manifestacjach – podziw, ale wygląda to wszystko na przekonywanie przekonanych, czyli tych, którzy znają język prawa i rozumieją coś, co nazywa się duchem prawa. Miliony Polaków tego nie znają. Prof. Krystyna Skarżyńska z początku 2015 r. w wywiadach zwracała uwagę, że dla ogromnej większości naszego społeczeństwa pojęcie trójpodziału władzy jest zupełnie obce. To nieznanostwo pewnych słów, pojęć, terminów w ich prawniczym, a nie tylko potocznym znaczeniu sprawia, że tak łatwo dzisiejszej władzy szafować frazami *najwyższa kasta* czy *sędziowski rokosz*.

Specyficzną grupą zawodową, niekiedy wręcz barykadującą się językowo, są naukowcy. W przypadku dziedzin technicznych czy przyrodniczych to nawet zrozumiałe – potrzebny jest im osobny język, pewien kod. Ale niedostępność

poważnej, akademickiej nauki dla szerokiej publiczności owocuje pseudonauką, szarlatanerią, krzewieniem rozmaitych szaleństw typu ruch antyszczepionkowy czy megadawki witaminy C na raka.

Interesujące, że bodaj najbardziej zażyłe stylistycznie i po prostu niekomunikatywne prace naukowe i popularnonaukowe powstają w humanistyce i naukach społecznych. Oto przykład wybrany losowo z pewnej książki uznanego eksperta w sprawach mediów, reklamy, rozrywki, słowem – nomen omen – komunikacji masowej. Z grubsza – chodzi o zdefiniowanie pojęć funkcji i działania mediów: „...w przypadku mediów interesuje nas zwykle nie tyle samo działanie, ile raczej to, co z niego wynika, przeto wydaje się, że definicję tę należy zawęzić w kierunku dominującego w socjologii i antropologii rozumienia funkcji jako całościowego wyniku zorganizowanej działalności bądź jako wkładu czynności cząstkowej w utrzymanie całości strukturalnej. To drugie określenie wskazuje też na potrzebę odróżnienia czynności cząstkowej od czynności całości, co jest szczególnie ważne w przypadku mediów, ponieważ ich działalność obejmuje bardzo wiele różnych działań (i ich wyników), które nie dają się sprowadzić do jednej funkcji i muszą być ujmowane jako odrębne funkcje”. Uff, i tak przez 396 stron.

Nie wynika z tego bynajmniej, że obecne media, zwłaszcza te państwowe, opacznie pojmują swoje funkcje (cząstkowe, całościowe – wszelkie), manipulują i kłamią na potęgę; że jedno media się stabloidyzyowały, inne – zamieniły w biuletyny polityczne, a większość klepie coraz dotkliwszą biedę. Ponieważ – po pierwsze – ludzie mniej czytają, oglądają i słuchają (chyba że za darmo w internecie), a po drugie – reklamodawcy wołają *cookie's*, czyli celowaną reklamę internetową, od drogiej i niepewnej prasowej, radiowej i telewizyjnej. Widać gołym okiem, że sypie się model biznesowy, który pozwalała finansować niezależną prasę, przynajmniej w pewnej części, z reklam i w ten sposób utrzymywać wysokie nakłady. Podobne zjawiska dotyczą radia i telewizji (niech nie zwoździ liczba wciąż nadawanych reklam – to często tylko prężenie mięśni przed konkurencją).

Czas ściemy

Trzeszczy więc w posadach jeden z konstrukcyjnych filarów liberalnej demokracji: media poważne, prawdziwie opiniotwórcze (i językotwórcze). W kryzysie znalazł się jeden z najważniejszych zawodów w liberalnej demokracji: dziennikarstwo. Jak kilka innych profesji – np. adwokatura – tzw. pracownicy mediów odzegnują się najczęściej od etosu inteligenckiego. Słowo niemodne, językowy grat. Szkoda, że pojęcie to zostało pogrzebane wraz z nastaniem demokracji. Badacze społeczni i wykonawcy rozmaitych post-inteligenckich profesji uznali dość powszechnie, że nie ma już ono desygnału w rzeczywistości społecznej, a tym bardziej w kapitalistycznej rzeczywistości gospodarczej. Że to historyczna, słowiańska (bardziej nawet rosyjska niż polska) efemeryda, przystająca do kultury ziemiańskiej, do tradycji szlacheckiej, ale nie naszej postnowoczesności.

Więc szkoda tej inteligencji, bo teraz właśnie przydałaby się ona jak nigdy. Może gdybyśmy tej tradycji nie pochwali, mgr historii Mateusz Morawiecki byłby inteligentem, a nie nałogowym ściemniaczem (kłamczuchem) wytreśowanym w międzynarodowej korporacji. Może mniej byłoby w mediach infoteimtu (informacja połączona z rozrywką), mniej gwiazd wypowiadających się na każdy temat bez żadnej ku temu legitymacji, mniej speców od wizerunku i propagandy, ha-eru (nabór kadr) i pi-aru (budowanie wizerunku), a więcej osób wykorzystujących swoją inteligencję do roztropnego (ten przymiotnik to też chyba już językowy rupieć) analizowania rzeczywistości.

Byłaby, słowem, jakaś grupa społeczna, której autentycznie można by zaufać, wzorować się na niej, również w doborze słów do mówienia i myślenia. Znaleźliśmy się jako społeczeństwo w niebezpiecznej próżni. Zanim dorobiliśmy się wiarygodnych elit, politycy przypuścili na nie populistyczny szturm. Jednym ze słów najbardziej spostonowanych w ostatnich dwu latach jest właśnie elita. Brzmiało jak nobilitacja, brzmi jak obelga.

Efektom pielęgnowanego przez władzę podziału na „naszych” i „zdrajców” jest też zanik wspólnego języka. Swoiste

rozdwojenie polszczyzny. Toteż wielu z nas coraz częściej ostrożnie milknie. Unikamy słów, które mogłyby spowodować, tematów, które okazałyby się nie daj Boże zapalne, opinii, które mogłyby się nie spodobać.

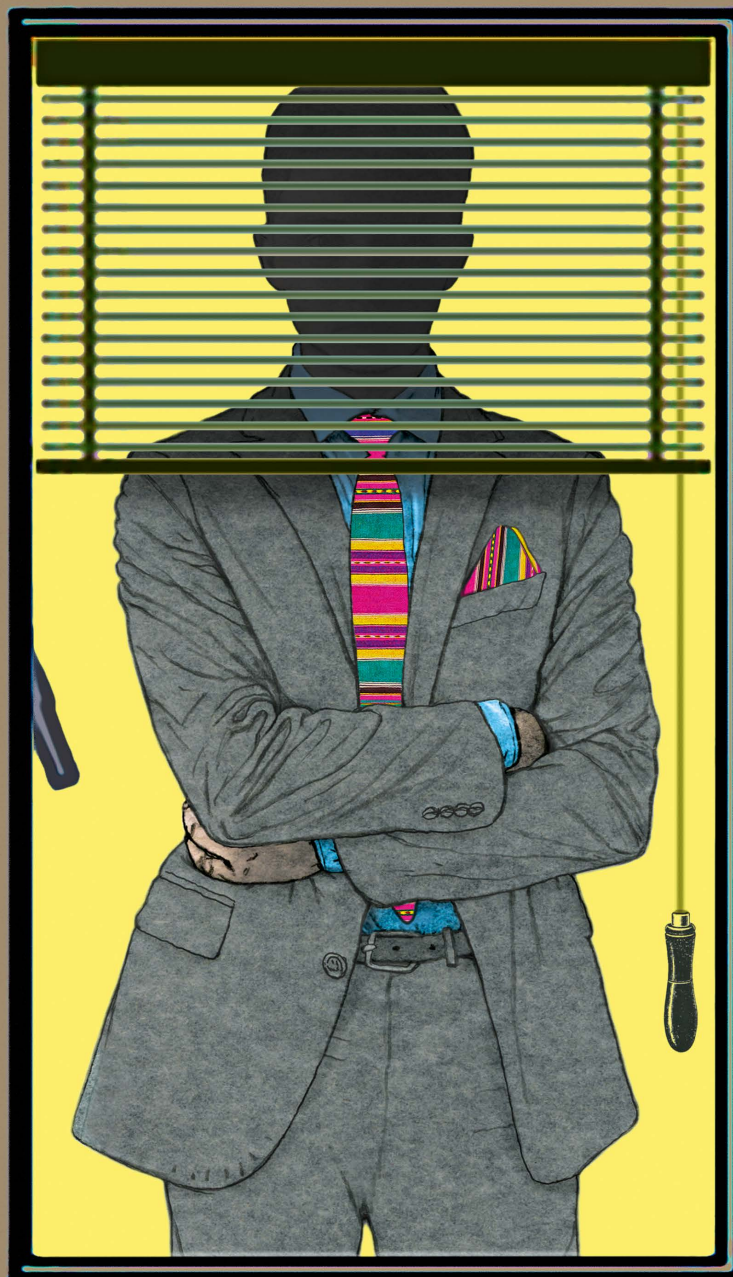
Czas słowa „urwał”

Do czego to prowadzi? Pomińmy najgorsze ewentualności. Ale całkiem realna staje się taka rzeczywistość, jaką dało się niedawno zaobserwować pod remontowanym budynkiem jednorodzinny w Warszawie. Rzeczywistość trwała niespełna kwadrans, wzięło w niej udział pięciu młodych, postawnych mężczyzn, z powodu upału występujących półnago, a w związku z tym eksponujących mimochodem swoją siłę i muskulaturę. Szorty pozostawili na sobie – jak się wydaje – tylko po to, by mieć pod ręką, czyli w tylnych kieszeniach, komórki. Trzech wyszło z budynku, dwóch przybyło ciężarówką dostawczą z jakimiś potężnymi rulonami drogocennego materiału budowlanego. W ciągu tych piętnastu minut odbyła się żywa wymiana myśli. Panowie zakomunikowali sobie, że rulony są piekielnie ciężkie. Wymienili sprzeczne przekonania co do tego, kto mianowicie ma się poczuć odpowiedzialny za ich wniesienie do budynku. Osiągnęli porozumienie co do współpracy. Zastanowili się, jakiego sposobu do tego użyć, i znaleźli w śmietniku odpowiednio wytrzymałe drągi. Gdy w końcu podnieśli rulony, wyrazili swoje zdumienie, a może nawet przerażenie ich ciężarem i możliwymi następstwami ich upuszczenia. Przy wnoszeniu wspomagali się wzajemnie i wyraźnie mobilizowali. Na koniec podsumowali sytuację jednym słowem wypowiedzianym na głębokim wydechu. Zresztą w całej tej rzeczywistości ani przez moment nie padło żadne inne słowo. Obyto się tym jednym, zmieniała się tylko intonacja i siła głosu. Raz było to jakby chrząknięcie, innym razem – krótki okrzyk. Nawet nie brzmiało zbyt groźnie. Tak jakby *urwał...* lub coś w tym rodzaju. Cóż, tak też można się komunikować. Pradawna ludzkość już to ćwiczyła. Zanim wynalazła słowa.

EWA WILK

Autorka jest dziennikarką POLITYKI.

Chłop jest w nas – to nie ulega wątpliwości.
Zadajemy sobie jednak pytanie:
kim on dziś jest i jak się zmienia.



Nasza nowa naszość

TOMASZ SZLENDAK

Wydaje się, że krytycy chłopskości w Polce i Polaku przyjmują milcząco, że ten chłop to skamielina jakaś, coś trwale w nas tkwiącego w niezmienionej od folwarku postaci. Tymczasem nasze chłopskie wyposażenie wcale skamieliną nie jest (przekonująco pisała na ten temat Joanna Podgórska w POLITYCE 33/18). Od trzydziestu niemal lat kształtuje się polska wersja kultury konsumpcji, w ramach której pojawiły się nowe potrzeby, wzory estetyczne i pozycje ekonomiczno-społeczne.

Za sprawą wszystkich tych czynników tkwiący w nas dzisiaj chłop to w istocie postchłop, chłop-transformers – przepoczwarzony w nowych okolicznościach techno-społecznych. Nasza zaś nowa naszość to zestaw takich praktyk kulturowych i takich zbiorowych cech, które co prawda mają swe źródło w chłopskości, ale po zderzeniu ze współczesnością przybrały inne oblicze.

Zanim zabiorą się Państwo za dalszą lekturę, garść ostróg. Otóż nie jest to bajka z narzuconym morałem – sami zdecydujcie o plusie czy minusie przy każdej z cech czy praktyk, która się tu pojawi. Nie jest to tekst napisany ani z lewej, ani z prawej strony. Nie jest też symetryczny (w tym nowomodnym symetrii znaczeniu). Nie wpisuje się w niedobrą, bo dzielącą Polki i Polaków, dyskusję na temat podziału Polski na tę discopolową i ludową, i na tę zmodernizowaną i „europejską”. Niechże konserwatyści nie dostrzegą w nim ataku na przymiotów pełen polski lud. Niechaj liberałowie nie odczytują go jako zestawu dowodów na niemądrość elektoratu. I niechaj nowa lewica nie czyta go jako kolejnego biadolenia, w którym strofuje się polską klasę ludową za jej zaściankowość i za disco polo, a ta – obrażona – w odwecie za to strofowanie głośuje na przywołujące się do niej populistyczne partie.

Ot, postarajmy się spojrzeć na przepoczwarzoną chłopskość Polek i Polaków tak jak entomolog spogląda na mrów-

ki. Przyjmijmy, że taki właśnie obraz wyłania się z prowadzonych w naszym kraju od dziesięciu lat socjologicznych badań. Poszukajmy chłopca transformera w każdym z nas, choć to trudne. Niechże tekst posłuży refleksji, ku jakiej formie naszości zmierzamy.

Menu

O jednolitej, postchłopskiej tożsamości Polek i Polaków pisać trudno. Podobnie jak niełatwo pisać o naszej tożsamości narodowej. Bo nie ma czegoś takiego jak tożsamość polska. Jesteśmy – jak wszystkie inne narody – wspólnotą wyobrażoną. Taką, która tkwi tylko w naszych umysłach za sprawą wiary, że szlachecki kontusz jest wspólny, że „Dziady” są wspólne, tak samo Sienkiewicz czy wspólne są łowickie i czerwone korale. Tymczasem wszystko to są elementy tożsamości klasowych albo regionalnych. Zostały przez elity, intelektualistów, nauczycieli, decydentów, „wypreparowane” ze społecznych klas (jedna z nich – arystokracja – praktycznie już nie istnieje) albo z regionów i złożone w pewną całość, która za sprawą uniwersalnej, ponadregionalnej edukacji wydaje nam się spójna. Choć może ostatnimi laty coraz mniej.

Anthony D. Smith, zmarły przed dwoma laty brytyjski socjolog, napisał w 1995 r. o „gastronomicznej koncepcji narodu”. Wedle tej koncepcji narodowa tożsamość to coś w rodzaju menu w restauracji. Karta dań, które na tę tożsamość się składają. W podobny sposób opisać można naszą chłopskość. Można w menu podać te cechy, które w Polce i Polaku tkwią za sprawą setek lat funkcjonowania w folwarku: indywidualną zaradność w sytuacjach kryzysów, brak kreatywności w wymiarze społecznym, nierozumienie świata za opłotkami, pasywność, ludową religijność, nieumiejętność współdziałania w miejscu pracy czy zaufanie, którym obdarza się wyłącznie najbliższych.

Z jakich dań składa się jednak nasza dzisiejsza naszość, nasza postchłopskość? Czy ze zderzenia tradycyjnej chłop-